Młody Las



CZERWIEC 1938

Było to w czerwcu...

◆ Jan z Czarnolasu. — Któż z was nie zna przepięknego psalmu: »Kto się w opiekę odda Panu swemu«? Wypłynął on spod pióra natchnionego poety, Jana Kochanowskiego, którego słusznie uważamy za ojca poezji polskiej. Był to śpiewak z Bożej łaski, mistrz słowa, przykładny katolik i gorący patriota. Kiedy innowiercy pragnęli go pozyskać dla siebie, powiedział te pamiętne słowa: »Co przyrzekłem na Chrzcie św., dotrzymam, choćby mi miała spaść głowa«. Jego spuścizna literacka jest bardzo bogata. Do najpiękniejszych utworów należą »Treny« na śmierć ukochanej córeczki Urszuli, »Pieśni« (Pieśń świętojańska o Sobótce) i przekład Psałterza Dawidowego. W życiu swoim całym, w myślach i uczuciach, w poglądzie na świat i na sprawy polityczne swego narodu — wszędzie twórczość jego była najwymowniejszym wyrazem cywilizacji polskiej w XVI wieku. Pragnął Polski chrześcijańskiej i silnej. Głos zgodny pokoleń uznał go za największego aż do wystąpienia Mickiewicza.

W dniu 6 czerwca przypada 408 rocznica jego urodzin.

◆ Grunwald kozacki. — Wśród grozy wojny domowej powołano na tron Jana Kazimierza. — Nieszczęsny ten król straszliwe miał panowanie. Na Ukrainie zbuntowane tłumy czerni, kozacy z Tatarami i Turkami, hulali, palili, łupili, zabijali, nie szczędząc dzieci i kobiet. Obronił się bohaterski zawsze Lwów, który w ostatniej chwili, gdy już czerń zdobywała mury, doznał cudownej pomocy bł. Jana z Dukli.

W r. 1651 znany z Trylogii Sienkiewicza buntownik, Bohdan Chmielnicki, zebrał armię liczącą 200 tysięcy ludzi i ruszył przeciw Polsce. Król ogłosił pospolite ruszenie. Stanęło naszych około 100 tysięcy. Po stłumieniu buntów chłopskich, wojsko królewskie rozbiło obóz pod Beresteczkiem na Wołyniu, gdzie przyszło niebawem do krwawej rozprawy. Trzydniowa walka zakończyła się zupełnym pogromem wojsk nieprzyjacielskich i złamaniem potęgi kozackiej. Rocznica tej wielkiej bitwy przypada na dzień 28 czerwca.

Okładka wstępna przedstawia morze. Okładka końcowa wyobraża dzieci sypiące kwiatki podczas procesji na Boże Ciało. (Zdjęcie z agencji „Światowida").

DO CZYTELNIKÓW I PRZYJACIÓŁ MŁODEGO LASU!

Od nowego roku szkolnego Młody Las odmieni się bardzo! Jak każdy wzrastający las rozwija się, rozszerza swoje korony, przybiera coraz to wspanialszą szatę liści, podobnie i Młody Las wychodzić będzie częściej i w ozdobniejszej postaci. Urozmaicą go większe, śliczne ilustracje wielokolorowe, przychodzić do was będzie także dwa razy na miesiąc i dostarczać wam będzie dużo wiadomości, odnoszących się do życia szkolnego. Obok innych pięknych artykułów najwybitniejszych pisarzy, zamieszczać będziemy dłuższą powieść i cały szereg innych nowości nie poruszanych w dotychczasowym Młodym Lesie. Zresztą sami się przekonacie. Przypuszczam, że przyszły Młody Las spodoba się wam jeszcze więcej, tym bardziej, że poszczególne zeszyty będą znacznie tańsze niż dotychczasowe.

Warunki prenumeraty w 1938/9 r.

Prenumerata zbiorowa

Pojedynczy zeszyt zakupiony osobno 20 groszy.

Rocznie . . . . 3.20 zł

Półrocznie . . . . 1.80 „

Kwartalnie . . . . 1.00 „

Na każde 15 egzempl. dodaje się jeden bezpłatnie.

Prosimy uregulować opłatę za pierwszy rocznik Młodego Lasu, tzn. za 6 zeszytów 1.40 zł; za pojedynczy zeszyt 25 groszy.

W sprawach prenumeraty adresować: WYDAWNICTWO APOSTOLSTWA MODLITWY, Kraków, ul. Kopernika 26. PKO. nr 400.152. W sprawach redakcyjnych: Redakcja Młodego Lasu, Kraków, ul. Kopernika 26.

Redaktor: KS. STANISŁAW KUŹNAR T. J.

TREŚĆ:

Było to w czerwcu 122
Na pożegnanie 123
Książka Irki 124
Żywe latarnie 126
Nowy Bóg 128
W dniu pierwszej Komunii św. . . . 131
Opowieść o Chrystusie i róży 132
Wiatr od morza 133
Łososie 134
Dobroczyńcy 138
Hallo, Ministranci 139
Z naszego życia 140
Echo Młodego Lasu 142
Zagadki 143

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Drukarnia Apostolstwa Modlitwy (Księży Jezuitów).

MŁODY LAS

MIESIĘCZNIK DLA MŁODZIEŻY
PISMO KRUCJATY EUCHARYSTYCZNEJ

Zeszyt 6 CZERWIEC 1938 Rok 1

Na pożegnanie...

A gdy zamkną się podwoje
Waszych szkół,
I Wy, jak te drobne roje
Złotych pszczół,

Opuścicie z brzaskiem dzionka
Szkoły krąg,
Niech Wam dźwięczy pieśń skowronka
Z pól i łąk!

Niech Was Polska cała wita,
Strzeże Bóg —
Pośród jezior, pośród żyta,
Leśnych dróg...

Przyszła za trud już zapłata
— Jasne dni!
Radość niech Wam chwile splata,
Wszędzie lśni!

A gdy każdy się uzbroi
W hart na trud —
Chętnie stanie u podwoi
Szkolnych wrót!!!

Edward Kłoniecki



KSIĄŻKA IRKI.

Nigdy może nie było w klasie tak gwarno jak dzisiaj. Nie dziw — przecież ostatnia godzina w roku — rozdawanie świadectw! Nawet najbardziej milczące dziewczynki ożywiły się teraz.

Irka była również przejęta. Nie trwożyła się jednak zbytnio. Miała pełną świadomość, że uczyła się obowiązkowo, że starała się dobrze zachowywać. W jej zeszyciku — skarbczyku rycerki Krucjaty Euch. każdego dnia pojawiały się notatki: »Wypełnione obowiązki szkolne — 6 razy; zwycięstwo nad lenistwem — 3 razy; uprzejmość i usłużność względem drugich — 10 razy«. Kosztowało to ją przedtem dużo dużo wysiłków, ale obecnie była zadowolona ze swych zwycięstw — została dobrą uczennicą. Toteż spokojnie zwróciła się do swej przyjaciółki Joasi:

— Co będziesz robiła podczas wakacji?

— O, wspaniałe rzeczy. Prawdopodobnie tatuś wyjedzie gdzieś na wieś — opowiadała z zapałem Joasia. — Będę...

Dalsze słowa przerwał jej ostrzegawczy znak koleżanek. Wychowawczyni klasy zbliżała się ze świadectwami. Serduszka zabiły jeszcze gwałtowniej, nastała przejmująca cisza. Wreszcie odezwał się głos nauczycielki. Padło oznajmienie o pierwszym wyniku i jedna twarzyczka dziewczęca rozjaśniła się błogim zadowoleniem. Potem rozjaśniało się ich coraz więcej i więcej. Wszystkie przeszły! Aż drżały od tamowanej wysiłkiem radości, by nie wybuchnąć wesołymi okrzykami. I nauczycielka uśmiechała się promiennie. Była zadowolona ze swej klasy, zwłaszcza odkąd założono w niej Krucjatę. Włożony trud wynagrodził się. Zdobyła sobie miłość uczennic. Toteż kiedy powstała, zwróciły się ku niej oddane spojrzenia wychowanek.

— Drogie dziewczęta, winszuję wam wyniku i życzę przyjemnych wakacji. Było mi z wami dobrze, jestem wam w pełni oddana. Rodzice dadzą wam zapewne miłe wakacje, należą się wam zresztą za waszą pilność. Przez dwa miesiące będziecie wypoczywały i przypuszczam, że nie będziecie zaglądać do podręczników szkolnych. Ale chciałabym wam polecić inną książkę. Nie bójcie się, nie! Nie będzie ona wcale męcząca. Wręcz przeciwnie. Sprawi wam ona ogromną przyjemność. Nawet nie trzeba jej kupować. Będą ją zdobić niezliczone obrazki, właściwie składać się będzie z samych obrazków.

Oczy dziewczynek zapaliły się ciekawością. Początkowa obawa przed nową nauką w czasie wakacji zaczęła ustępować, w miarę jak ukochana nauczycielka wysławiała zalety owej tajemniczej książki. Na ustach wszystkich drżało tłumione pytanie, co to za książka i o czym ona opisuje.

Nauczycielka uśmiechnęła się znowu.

— Dodam jeszcze i to, że tę książkę napisała najmędrsza istota na świecie. Czy domyślacie się już?

— Nie...! — odezwały się ściszone szepty.

— A zatem wam powiem: tą książką jest przyroda. Sam Pan Bóg ułożył ją i napisał. Opowiada w niej o swojej potędze i piękności a zarazem o miłości ku ludziom. Śliczna to księga i posiada jakby wiele, wiele tomów. Każda gwiazda, każde morze i ląd są cudnymi tomami tego boskiego dzieła. Jeden z takich tomów opowiada właśnie o naszej Polsce. Wspaniały tom. Uczymy się z niego kochać Boga i naszą Ojczyznę. Każde zaś nasze miasto, wieś, góra, las to znów jakby jedna kartka w owym tomie o Polsce. Każda inna, każ-

da prześliczna! Wyczytać w niej można najpiękniejsze i namędrsze rzeczy. Nie tylko czytać: ta dziwna książka także śpiewa — śpiewa urokiem polskiego języka, dźwięczy pieśnią ptasząt, szumem borów, hukiem morza, głosem dzwonów, szmerem zbóż, melodią wichrów. Kto umie wsłuchiwać się w mowę przyrody, dowie się najciekawszych rzeczy, pozna i pokocha Stwórcę, uszlachetni swoją duszę. Przestawajcie z tą książką, a nie tylko doskonale sobie wypoczniecie, ale i uszlachetnicie się, gdyż od przyrody ojczystej myśl wasza i serce będzie wzlatywać do Boga. Do widzenia! Przyjemnych wakacji!

* * *

Stopniowo ustawał gwar rozbawionych głosów. Zapadała cisza. Dziewczynki z obozu wakacyjnego ułożyły się już do snu. Tego tylko oczekiwała Irka. Lekutkim krokiem przesunęła się do świetlicy i zapaliła światło. Powierzono jej straż nad salą, miała porządkować czasopisma, układać zabawki i przyrządy do gier. Ale właściwie nie dlatego przybiegła tutaj tak późno.

Ostrożnym ruchem wyjęła ozdobny, duży zeszyt, przewróciła kilka kartek i uśmiechnęła się radośnie.

Teraz miała sobie porozmawiać ze swym przyjacielem. Spojrzała na niego z miłością. Był to właśnie jej drogi, tajemniczy zeszyt, który ukrywała zazdrośnie przed oczyma koleżanek. Miała mu właśnie wiele do powiedzenia.

Wróciła dzisiaj z wycieczki. Pogoda dopisała wspaniale, co chwila olśniewały ją przecudne krajobrazy, wznoszono się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie wycieczka dotarła do rozległej polany, na szczycie góry. To, co Irenka teraz zobaczyła, nie da się pewnie nigdy wyrazić. Jakby za rozchyleniem czarodziejskiej zasłony, zaśniły przed nią potężne Tatry. Wspaniałe turnie strzelały wysoko w górę na kształt olbrzymich wież kościelnych. Tak, naprawdę góry wyglądały jak prześliczna świątynia. Właśnie słońce wzbiło się ponad ich szczyty i ozłacało je swymi barwami.

— Śliczne, wspaniałe! — wyrwał się Irence samorzutny okrzyk. — Patrz, Joasiu, jakie to piękne.

Przypomniały się jej słowa nauczycielki o księdze przyrody i o Bogu, pisarzu tej księgi. Rzeczywiście, można się godzinami wpatrywać w jej obrazy.

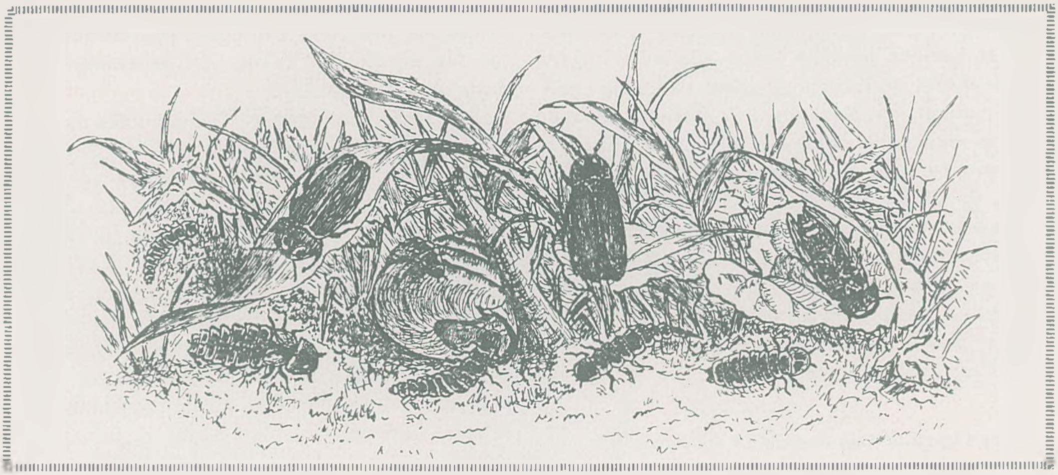
Dziewczynki rozbiegły się do zabawy i gonitw, a Irka wpatrywała się nadal w góry i lasy i snuła sobie najróżnorodniejsze rozmyślania. Zaczęła rozumieć mowę natury: góry i lasy opowiadały jej o potędze Boga, w rzekach dopatrywała się podobieństwa ze strumieniami łask Bożych, spływających z nieba ku ludziom, w pszenicznych łanach i kłosach jaśniała przed jej oczyma biel świętej Hostii, którą P. Jezus żywi nasze dusze, w ptaszkach widziała śpiewaków bożych, różnobarwne kwiaty nasuwały jej na myśl najrozmaitsze cnoty.

Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze wśród pól i wzgórz.

I oto teraz po powrocie z wycieczki chciała sobie spisać te wszystkie wrażenia. Była głęboko wdzięczna drogiej nauczycielce za dobrą radę. Przyroda okazała się naprawdę prześliczną księgą.

Stanisław Borski





Żywe latarnie

Milion świetlików na łąkach się mnoży,
Milionem gwiazdek strop niebios się mieni,
Gwiazdki — świetliki błękitów przestworzy,
Świetliki — gwiazdki letniej łąk zieleni.
(K. J. Jasiński).

Ażeby rozjaśnić ogarniające nas ciemności, zapadające po zachodzie słońca, zapala człowiek bądź to światło elektryczne, bądź to gazowe lub naftowe. W ten sposób przedłużamy czas trwania pracy o pewną ilość godzin i uniezależniamy się jakby od promieni słonecznych.

Światło przywykliśmy powszechnie wiązać z obecnością człowieka. Kiedy zabłądzimy w nieznanej okolicy wypatrujemy z utęsknieniem śladów dymu w dzień, lub błysków ognia w nocy. Zdarzyć się jednak może, że migające w oddali światełka, zamiast do mieszkań ludzkich, prowadzą na gorszą jeszcze drogę — na bagna i moczary, gdzie nie ma nawet śladów życia ludzkiego. Takie to właśnie zwodnicze światełka uwodziły na manowce wielu bohaterów naszych bajek dziecinnych.

Nie tylko człowiek wytwarza zatem światło. Kto więc zapala te błędne ogniki, nigdy nie uchwytne, ukazujące się coraz to w innym miejscu, na łąkach, moczarach i w lasach? Co to za tajemnicze istoty błądzą wtedy po trzęsawiskach? Nie drżyjmy jednak. Nie ma tam duchów. To tylko pali się gaz zwany błotnym albo metanem. Wytwarza się on skutkiem gnicia roślin lub odpadków zwierząt w wodzie bez dostępu powietrza.

Niemniej niesamowity widok przedstawia samotnie butwiejące drzewo, które po całych nocach jaśnieje biało-zielonawym blaskiem. Taki sam blask roztaczać mogą gnijące rany na ciele ludzkim i zwierząt. Światło to pochodzi zazwyczaj od fosforu, znajdującego się w dużej ilości we wszystkich żywych organizmach. Jest go bardzo dużo zwłaszcza w mózgu i kościach nie tylko zwierzęcych, ale także i ludzkich. Fosfor ten, wyodrębniany z przedmiotów przez rozmaite bakterie gnilne, stykając się z tlenem powietrza, łączy się z nim czyli spala się i powoduje świecenie. Zachodzi tu więc podobne zjawisko, jak podczas świecenia gazem lub naftą. Jak małych ilości trzeba do wywołania światła fosforowego, tzw. fosforescencji, świadczy wypadek, że woda, w której przechowywano czysty fosfor może świecić w ciemności nawet wtenczas, kiedy mieszczą się w niej zaledwie ślady fosforu tak małe, że nie da się go wykazać żadnymi sposobami chemicznymi. Wystarczy więc bardzo mała ilość wydzielonego przez bakterię fosforu, ażeby drzewo jaśniało w ciemności jak zaczarowane.

Oprócz takich świateł palących się bez udziału człowieka, każdy zapewne spotkał jeszcze inne, jakby żywe. W ciepłą czerwcową noc widzieć można jakby roje latających gwiazd. Wszystkim zapewne są znane owe niepozorne, małe bo zaledwie centymetrowe chrząszczyki zwane robaczkami świętojań-

skimi. Nazwę swą zawdzięczają temu, że ukazują się najliczniej w okresie św. Jana.

Robaczki świętojańskie świecą słabiej aniżeli sobótki, ale jakże wspaniale! Ogniki ich unoszą się już to ponad ziemią, już to błyszczą pośród trawy. Nieraz czekaliśmy, ażeby jedna taka żywa latarnia, która zwróciła naszą uwagę mocniejszym światłem, uniosła się w powietrze. Czekanie było jednak daremne. Nie pomaga tu również nasza pomoc. Chrząszczyki te podnoszone w górę i rzucane, nie rozkładają skrzydeł zwyczajem chrabąszczy majowych czy biedronek. Dokładniejsze badania zdradzają nam dopiero tajemnicę tego lenistwa. Okazuje się mianowicie, że te robaczki świętojańskie, które jaśniej świecą ukryte w trawie i nie mają skrzydeł i dlatego, rzecz zrozumiała, nie mogą latać. Okazuje się ponadto, że są to samiczki, zaś te skrzydlate, świecące słabiej to samczyki. Słabą zdolność świecenia mają zrównoważoną dobrym wzrokiem, gdyż posiadają około 2500 oczek na głowie, podczas gdy samice, które świecą o wiele jaśniej, mają ich tylko 300. Zaciekawia nas to, że człowiek ma dwoje oczu a widzi tak dobrze. Nadmienić tylko trzeba. że oczy nasze posiadają zupełnie inną budowę niż złożone oczy owadów. W każdym razie, widzimy tutaj zależność pomiędzy siłą świecenia silniejszą u samic robaczków świętojańskich a lepiej wykształconym wzrokiem u samczyków i ich zdolnością latania, zatraconą u samic.

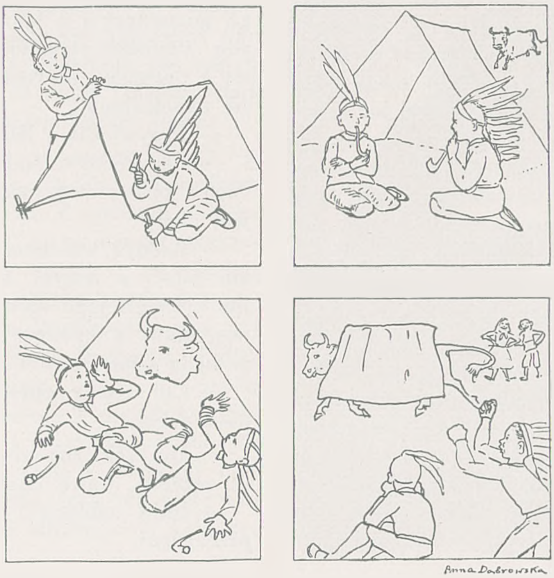
Aparaty świetlne robaczków świętojańskich znajdują się na dolnej stronie odwłoku w postaci dwu narośli, a oprócz tego 13 mniejszych na bokach odwłoku u samic. Dokładne badania uczonych wykazały, że świecenie odbywa się tu na skutek spalania się wydzieliny komórek ciała, zwanej luciferyną w obecności innej substancji, zwanej luciferazą, przy czym potrzebny do tego tlen powietrza, doprowadzany jest do wnętrza organów świetlnych przy pomocy cieniutkich rurek zwanych tchawkami. Te tchawki spełniają u owadów podobną roę jak u nas płuca — tzn. dostarczają tlenu całemu organizmowi.

Jest rzeczą nie do wytłumaczenia, że chrząszczyk taki nie odczuwa gorąca swojej lampy. Przywykliśmy do tego, że wszystkie nasze aparaty świetlne parzą bardzo silnie, nagrzewając się podczas świecenia. Otóż aparaty świetlne robaczków świętojańskich całą swoją energię, moc, zużytkowują tylko na wydawanie światła połyskującego jak brylanty.

Takie żywe brylanty wykorzystują panie w Brazylii i zdobią swoje suknie żyjącymi tam chrząszczykami zwanymi kukujo, które wydają wspaniałe światło.

Najwięksi inżynierowie i uczeni mozolą się dziś nad wynalezieniem takiej latarni, która by wydawała tylko śwatło, bez niepotrzebnego nagrzewania się. Na razie starania te są daremne. Wiele już aparatów zużytkował człowiek w postępie techniki i buduje coraz to nowe, chlubiąc się tym niezmiernie. Są to jednak tylko słabe odbicia dzieł Stwórcy.

J. Sędzik-Kłapkowska



1.

Jakże ładnie
Na tej łące!
Będzie namiot
Wiatr i słońce! —

2.

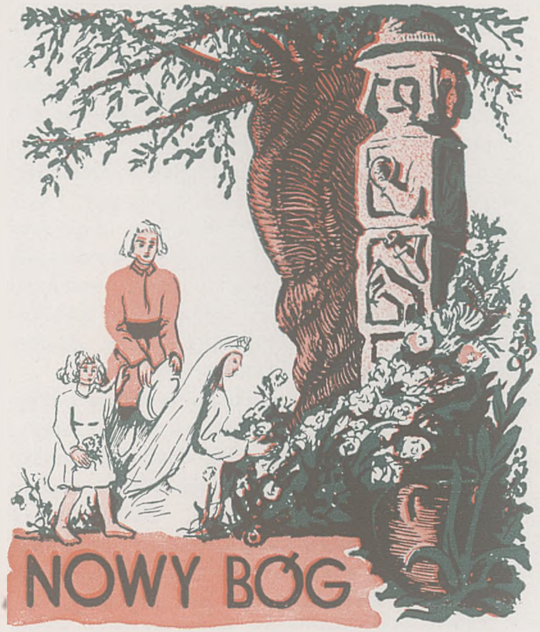
Dwaj Indianie
Mężni, młodzi
Siedzą, myślą
O przygodzie.

3.

Cyt, ktoś pędzi,
Ważna chwila!
Och! byk straszny
Łeb wychyla!...

4.

Nie skutkuje
Krzyk, wołanie,
Idą smutni
Dwaj Indianie...



Rzepka i Wisienna, córki starego Dobka, spieszyły do domu jak mogły. Za długo zabawiły się w lesie, gromadząc chrust na bliskie święto Kupały, opatrując zawczasu, gdzie rosną odpowiednie na wianki zioła. Ostatnie to pewnie ich dziewczyńskie święta, winny więc być obchodzone szczególnie uroczyście. Ostatnie... Kończy się radość i młodość, a zaczyna się luta praca. Wiele wesela w doli dziewczej, tyle łez w doli żenimy czyli żony, niewiastki, której przemówić w domu męża nie wolno do nikogo, którą świekra za bydlę robocze uważa!

Starały się nie myśleć, jak się nie myśli o niezbytej śmierci, całe pochłonięte rychłymi świętami. Starzy zaleją na placu wodą stary zeszłoroczny ogień, co się spracował już i chce odpoczynku. Podobnie gospodynie zaleją go we wszystkich chatach. Zrzec, czyli wróż, roznieci nowy, trąc dwa kawałki drzewa i mrucząc zaklęcia. Przy nowym ogniu każdy rozpali pochodnię i pobiegnie z nią co sił, kto do ogniska w chałupie, kto do stosu sobótkowego na wzgórzu. Szczęście wróży temu, co pierwszy przybiegnie, niedolę takiemu, co się spóźni, lub co gorsza, któremu pochodnia w drodze zagaśnie. Dopieroż przy ogniskach zaczną się pląsy i tany. Chłopaki a nawet stare gospodarze skaczą przez ogień, żeby pszenica dobrze rodziła, skaczą i dziewki, żeby konopie urosły wysokie. Zabawa i śmiechy do rana.

Oj do rana, ale tymczasem już zmierzch zapada, a one jeszcze są w boru. Strach, strach. Orężny mąż boi się pozostać w lesie nocą, a cóż dopiero dwie dziewki? Wiadomo, że gdy ptactwo dzienne do snu się ułoży, wiły wychodzą ze swych topielisk, leśny dziad opuszcza dziuplę, w której wraz z rysiem siedział cały dzień, dziwożony podchodzą pod ludzkie mieszkania, a jędzony tylko ślepią, kogo by utrupić. Strach, strach...

Biegną dziewczyny co sił, bojąc się odezwać, by licha uwagi na siebie nie zwrócić. Szczęściem już widać częstokół. Już błyszczą w mroku białe czaszki końskie zatknięte na żerdziach, chroniące od czarów. Jeszcze przełaz na noc nie zdjęty. Spotniałe z obawy, zdyszane z biegu, wsuwają się do chaty.

Pełno w niej ludzi. Stary Świętoch siedzi jak zwykle przy ogniu. Ojciec Dobek, stryj Ludbor przy nim. Bracia kucają na ziemi. Wszyscy patrzą jak w tęczę w obcego męża rozpartego na ławie, licem do ognia, plecami do wejścia. Pewnikiem wojak z drużyny książęcej, bo na kaftanie ma blachy świecące. Ręką wywija i prawi a wszyscy słuchają. Dzięki temu wejścia dziewczyn nikt nie zauważa. Tylko matka pogroziła im z kąta kądzielą, ale nic nie rzekła, żeby mężom nie przeszkadzać.

Wojak (wołano go Dzierżek) mówił:

— Szczerą prawdę powiadam. Książę nowego Boga, co z Czech księżna przywiozła, wywyższy, a naszych starych dobrych panów bogów — pokłonił się z czcią ogniowi — poniży. Poniży, powiada, że precz wyżenie...

— Nie gadajcie po próżnicy — zgromił go gospodarz i z lękiem spojrzał na palenisko. Płomień strzelał raźno skrami, swarzył się z polanami niefrasobliwie i Dobek poczuł się uspokojony.

— Przywiodła Dobrawa swojego Boga i swoich żerców, niechta będą, zgodził się. Nasze prawe bogi ostaną jak były. Miejsca jest dość.

— Kiedyż ten nowy nie chce. Sam jeden ma ostać, a innych nie ścierpi. Przyjechały już z Czech jego sprawcy. Księdzami ich zowią, jakby z książęcej krwi były! Powiadają, że będą gnać starych bogów, a ludzi chrzcić...

— Co znaczy chrzcić? — zapytał gospodarz drżąc.

— Do rzeki zagonią, wodą poleją, imię stare zabiorą, nowe dadzą...

— Imię zabiorą?! — krzyknęli wszyscy przerażeni.

Nic gorszego nie mogło im się wyobrazić. Zabrać imię, to prawie tyle co zabrać życie. Bo w imieniu jest zaklęcie chroniące zdrowie i siły, jest rękojmia opieki dawno zmarłych dziadów.

...Zabrać imię!...

— To nie może być — zapewnił Dobek stanowczo.

— Zobaczycie — upierał się wojak. — Wodą poleją, żebyśta pamięć straciły... Nowego boga nałożą... A zły on będzie! a chciwy! Wiela zechce daniny, a żertwy! Cała chudoba nie starczy!

— Mówiono już o tym?... — pytali się strwożeni.

— Nie mówiono nic, przeca pomiarkujcie sami. Jeśli on taki pażerny, że innego boga przy sobie nie zniesie, to się i lada czym nie zadowolni...

— Słusznie prawicie... Oj dolo!

— Kiedy książę mają zjechać?

— Na kupalne gody... Sobótki nam piękne sprawią! — zaśmiał się Dzierżek ze złością.

— Dadzą się to bogowie wyżenąć? — zapytał Ludbor z wahaniem.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na starego Swiętocha. On powinien znać najlepiej, co bogi uczynią.

— Nie dadzą się — rzekł stanowczo. Niech ino spróbują ruszyć, Swarożyc zawoła, Pochwist nadleci, zagrzmi... Dałyby to się tknąć cudzemu, gdy one swoje z prawieka?... Tylko że z tego gniewu, z tych łyskawic i grzmotów i nam dostanie się po łbie... Pomnę temu dziesięć roków, Pochwist się rozhulał, drzewa połamał, Mierowi poszycie z chałupy zdarł i na dąb zarzucił, a o co? Jak żerec wyłożył, o to, że z koniny pośledne mu części spalili, nie przednie... O taką fraszkę, taki srogi gniew!... Cóż dopiero będzie teraz?

— Jakby w puszczę zawczasu zbiec? — odważyła się zapytać gospodyni. Wrzeciono dawno wypadło z jej ręki. Z córkami siedzącymi u kolan słuchała, coraz więcej przerażona. Nie mogła jasno pojąć, o co chodzi. Miałożby bogów nie być?! Dobrotliwego panującego całemu światu Dadźboga i syna jego Swarożyca-ognia, i bogów Pochwist i Rgło? Mianożby wygnać boginię Żywię i Łagodę i Mokłosz strzegącą konopi i drobiu? I siostry obłoczne Zorzyce, i może nawet ubożęta z pod progu? Wygnać Dolę i Niedolę? Cóż pocznie człowiek mizerny, jeśli mu Dolę odbiorą? To lepiej umrzeć odrazu... — Tak myślała, przyciskając bezwiednie głowy córek a łzy jej spływały po jagodach.

— Ano, jakby do puszczy zbiec?... przytwierdził gospodarz.

Lecz Dzierżek zganił ten zamysł.

— Książę ogłosił, że kto by ze swego żerebu umknął, nie ma już do niego wracać, bo rolę drużynniki dostaną, albo te nowe żerce, co ich księdzami wołają.

— Można by białki ostawić...

— Oni białki tak samo chrzcić będą i miana im dawać jak mężom...

— To już nijakiej rady nie ma — westchnął posępnie gospodarz.

Lecz gospodyni podniosła głowę. Łzy jej obeschły. Słyszyż dobrze? One, niewiasty będą chrzczone, mianowane, zrównane z mężami?... Dziw! Dziw! I groźnie na tę myśl i jakoś lubo. Dotąd każda miała wprawdzie imię ale ot, takie jak klacz albo krowa. To Rzepka, to Kuca, to Czarnula... Nie mające żadnego znaczenia. Nigdy też żaden z bogów nie zatroszczył się dotąd o pośledni żeński rodzaj....

— — — — — — — — — — —

Wcześniej niż Dzierżek zapowiadał, bo na parę dni przed kupalnymi godami, książę Mieszko zjechał do grodu z żoną Dobrawą, drużynnikami i kupą obcych księży. Niektórzy pochodzili z Czech, wielu z dalekich nieznanych tu krajów, Italii i Francji, gdzie no-



wy Bóg od wieków był zasiedziały. Szeptano po cichu, że przyjechali z Rzymu od Wielkiego Karła, o którym jedni powiadali, że dawno a dawno pomarł, a inni, że jeszcze wciąż żywie. Wnet książę rozesłał wojów po wszystkich osiedlach. Jeździli jak gdyby sprawując wici, dmąc przeraźliwie w rogi i przykazując, by każdy, komu żywot miły, stawił się nad rzeką Wartą, w miejscu gdzie stoi na wzgórzu posąg Swarożyca. A stawić się mają wszyscy. Męże i żony. Starzy i niedolatki. Nawet dzieci. Każdy ma się przyodziać w białe czyste giezło...

— Jak dla żertwy... — mówili z trwogą ludzie, ale szli, bo kto by chciał z księciem zadzierać. Drużynników naśle, sioło z dymem puści. Ziemię zabierze. To jego książęce prawo.

Posąg Boga stał na wzgórzu między kilkoma starymi dębami. Były narówni z nim święte. Posąg, wielki ciężki pień, miał u szczytu wyrzezane niezdarnie zarysy poczwórnej twarzy w cztery strony świata patrzącej. Daleko na północy w nadmorskim Szczecinie te same bogi miały wspaniałe kąciny, pełne posągów i ozdób, tutejszy jednak obrządek był szary i biedny. Nawet żerców nie było wielu. Kudłaci, w dziwacznych swych czapach ze słomy, kryli się pomiędzy tłumem. Tylko te dęby święte i ten kloc z zarysem twarzy.

Książę w pozłocistych blachach, z mieczem w dłoni stał opodal. Udawał spokojniejszego niźli był w istocie. Ludzie tłoczyli się milcząc. Powietrze było wonne i łagodne.

Od boku księcia powstał i wyszedł naprzód stary obcy człowiek. Nie znał go nikt. Odziany bogato w złocisty płaszcz. Na głowie miał wielką czapkę rogatą. W dłoni laskę krzywulę, w drugiej pozłocisty niewielki znak, jak dwie deszczułki przełożone na krzyż.

— Nowy Bóg... Nowy Bóg... szeptali między ludźmi wojacy, co już wiedzieli.

— Ten w czapie?

— Nie, to co ma w garści, w prawej...

— Taki mały?!

— Może urosnąć, kiedy zechce...

Umilkli i dech wstrzymali z wrażenia, bo stary człowiek szedł pewnym krokiem na wzgórze, na święte wzgórze, na które nie lza było stąpnąć nikomu oprócz starszyźnie i żercom. A stanąwszy tam, wbił krzepko złocistą laskę w ściel leśną i uśmiechnął się do ludzi. Tak właśnie. Uśmiechnął się. Jakby się zupełnie nie bał, jakby nie wiedział, że bogów obraził, jakby przypuszczał, że jego będzie na wierzchu.

I zawołał:

— Nie będzie tu stał ten bałwan! Dajcie mi siekierę!

Książę spuścił nisko głowę, a przez tłum przeleciał dreszcz. Ni to jęk ni to westchnienie. Zafalowały szeregi, jedni chcieli iść w przód, drudzy wycofać się w tył. Zobaczył to i zawołał:

— Nie lękajcie się, ludzie i stójcie na miejscu! Jeżeli wasz bóg jest bogiem, zabije mnie, gdy podniosę topór. Sprawa to między moim Bogiem a waszym. Niech się nikt do niej nie wtrąca. Patrzcie jeno i czekajcie!

I powtórzył, żeby mu podano siekierę. Podszedł jeden z jego towarzyszy, dźwigając ciężki wielki topór. Cisza zaległa wokoło. Taka cisza, że słychać było, jak dzięcioł kuje gdzieś beztrosko w korę.

Milczą ludzie. Biegają oczyma po niebie, patrzą, z której strony nadbiegnie Pochwist, skąd uderzy pierwszy grom? A stary wziął topór w ręce. Dłonie miał wiotkie, niezwykłe roboty. Z trudem podźwignął żelazo, zamachnął się, uderzył w podstawę...

Pień drgnął. Dzięcioł kuł nadal. Pszczoły brzęczały wśród krzewów malinowych.

Zmógł się w sobie stary biskup. Uderzył drugi raz mocniej. Pień się zachwiał. A staremu jakby przybywało siły, walił teraz raz po razu, coraz mocniej i zawzięciej, aż rozległ się suchy trzask i wielki rzeźbiony słup runął na ziemię, potoczył się parę kroków po schyłości wzgórza. Legł trzema licami patrząc w świat, a czwartą w murawę.

Pomruk przerażenia, grozy, przebiegł między tłumem. Zdawało się, że jeszcze chwila, a porwą się podnieść zwalonego, rozedrzeć na strzępy bluźniercę... Czekali tylko pioruna... Ale piorun nie nadbiegał. Słońce nie śćmiło swojego oblicza. Nie widziałli Dadźbóg, nie słyszał?...

A biskup opuścił topór, swojego małego Boga w kształcie krzyża podniósł do góry, aż błysnął pod słońce.

— Ty będziesz panował odtąd nad tą ziemią, Panie — szepnął.

Gromko zaś krzyknął do tłumu:

— Słuchajcie mnie, ludzie, którzy tu stoicie. Czciliście tego bałwana, wierząc, że jest bogiem. Obaliłem go i leży, spróchniała kłoda. Nie ruszy się. Nie obroni. Martwy to pień. Bóg, któremu ja służę, jest Panem mocnym i wielkim. Jest potężny i wszechmocny. Słu-

chają go wicher, piorun i grad. On nimi rządzi, on im rozkazuje. Żywioły są w jego dłoni, jak pisklę w ręku ptasznika. Na Jego woli zawisł cały świat. On wszystko stworzył. Jego dech przy życiu was trzyma. Jest miłosierny i łaskawy. Nie żąda ofiary z ludzi — ni z ludzi, ni z koniny, skopa, placków, wina i zboża. Nie potrzebuje tego od was. Na cóż mu dary, skoro wszystko jest Jego własnością? On chce tylko jednej rzeczy: żebyście Go miłowali. Tak Go miłować macie jak dzieci ojca i macierz, bo On najlepszy i najpotężniejszy...

Głos jego rozlegał się w ciszy. Książę podniósł głowę i patrzył w błyszczący w dłoni starego znak krzyża. Za nim spoglądali inni. Ogarniało ich rosnące zdumienie. Nikt nigdy dotąd nie mówił, że Boga należy miłować. Boga należało się tylko bać i zaspokajać wszystkie jego wymagania.

...Nie lękajcie się, ale weselcie. Radosny jest dzisiejszy dzień. Pójdźcie wszyscy przyjąć łaskę Chrztu św. Otrzymacie godność chrześcijan, synów bożych. Nie sług, ani niewolników, lecz synów... Niełacno wam dzisiaj to pojąć, ale niedługo zrozumiecie i będziecie się radować... Kto chrześcijaninem się zowie, nic mu nie może zaszkodzić. Imię Boga prawdziwego będzie wam odtąd tarczą i ostoją... Pójdźcie...

Pałającym wejrzeniem, ruchem ręki wzywał rzesze. I ludzie wahający, niepewni, z obawą spoglądający na obalony posąg, po którym chodziły mrówki, — ruszyli jak urzeczeni za starym człowiekiem trzymającym w dłoni Krzyż.



Zofia Kossak

W dniu pierwszej Komunii św.

Uklękłaś cicha jak anioł w bieli
Jak lilia śnieżna osnuta puchem,
Aż się cieszyli jaśni Anieli,
Żeś im podobną: aniołem = duchem...

W serduszko Twoje wejdzie Pan świata,
Wnet jak monstrancja staniesz się boża,
Jak te anioły boże — skrzydlata,
A w duszy zadrga ci rajska zorza.

Jezus zrodzony w żłóbku w stajence
W tobie, w twej duszy znowu się zrodził,
Tyś Mu twe serce dała dziecięce,
On cię swą pełnią szczęścia nagrodził.

O, już wiesz teraz, dziecino droga,
Gdzie szukać szczerej w życiu radości,
Gdy przyjdziesz cicha przed ołtarz Boga,
A On w twym sercu, jak król, zagości...

Wtedy ci tyle da swych słodyczy
I taką sercu radość prawdziwą,
Jakiej ci cały świat nie użyczy —
Więc przychodź, przyjmuj i bądź szczęśliwą!

Wł. Wojtoń



Opowieść o Chrystusie i róży

Szedł Pan Jezus przez ziemię, smutnie pochylony,
Kłaniały mu się trawy i łan wyzłocony,
Kłaniały się paprocie i przeróżne zioła
I szumem swym witały drzewa dookoła...
A był to miesiąc czerwiec — Jemu poświęcony!
Więc ptaszęta chór śpiewów wzniosły podwo-
[jony,
I grały mu fujarki i dzwoniły dzwony,
I akacje swych główek słały miliony,
Lecz smutny był Pan Jezus w tej wielkiej po-
[droży,
Aż zapłakał serdecznie ponad krzewem róży,
Bo wielbiła go ziemia i ptaszęce chóry —
Lecz w ludzkich sercach grzech widział ponury,
I padła łza Chrystusa na różane płatki
I odtąd róża ma ten urok i czar rzadki.
Odtąd jej wonie takie naokół ślą tchnienie,
Jak gdyby każda chciała pomniejszyć cierpienie.

* * *

Aż raz zdyszany przypadł w uroczej ciszy
Pod różę młodzian. Pierś ciężko mu dyszy.
— Chryste! — zakrzyknął. — Serce w Ciebie
[ciągle wierzy,
Lecz jam już dawno drogich zapomniał pacierzy!
Z jakąż radością w domu ukochanej matki
Stroiłem niegdyś w zieleń, maki i bławatki
Twój obraz, Panie Jezu, w tym miesiącu czerwcu,
Litanię odmawiałem. Twemu Najsłodszemu Sercu
Zlecałem wszystkie troski, pragnienia zamiary —
Lecz przyszedł potem okres zasłużonej kary.
Potem ja, Panie Jezu, kochać Cię przestałem,
Pustkę i nicość wniosłem w życie moje całe.
Źli ludzie mnie zagnali na straszne bezdroża,
Gdzie zamilkł głos sumienia, wola zamilkła Twa
[Boża...
Żałuję, Panie, dzisiaj ta słodka woń róży
Jakieś zło twarde, gorzkie w mojej duszy burzy,
Jakieś wspomnienia płyną w skołataną głowę,
Chciałbym rozpocząć jakieś inne życie nowe.
Widzę grzesznego życia całą złość, niedolę,
Nie chcę już grzeszyć, raczej umrzeć stokroć
[wolę...

* * *

Sen uciszył zmęczone, biedne ludzkie ciało,
Zasnął młodzian wędrowiec i prawie zadniało,
A ptaszęta w swych rannych chórach jemu grały
Pieśń przebaczenia... A o nadziei szemrały
Zboża... I wracał Chrystus koło krzewu róży,
Ale już smutek zniknął, wzroku Mu nie chmu-
[rzył,
Oczy Mu jasna mądrość, uśmiech opromieniał,
Gdyż jeden biedny grzesznik doznał przebacze-
[nia.
I znów z oczu Zbawcy spadła łza miłości,
Na drżących płatkach róży błysła łza radości.

Maria Federowiczowa



Wiatr od morza

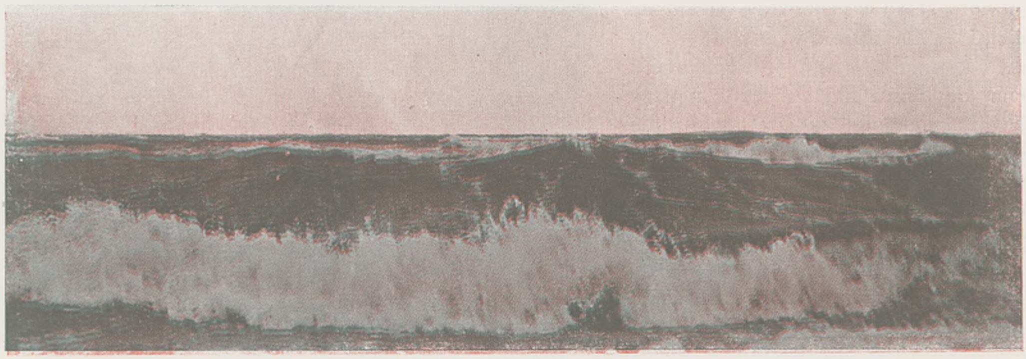
Morze! Morze! — Takim okrzykiem witało 10.000 Greków, widne zdala ze szczytów wzgórz i błyskające w słońcu fale ojczystego morza. Stęskniło się ich serce za morzem w długiej wędrówce lądowej po kamienistych pustyniach azjatyckich, to też nic nie zdołało pohamować radosnego okrzyku żołnierskich piersi na widok ojczystych brzegów i »modrej fali«, łączącej ich z krajem.

Ten okrzyk wyrywa się dzisiaj coraz potężniej z piersi polskich. Stajemy się narodem morskim, narodem żeglarzy i pragniemy naprawić błędy przeszłości. Nie zrozumieliśmy kiedyś wartości morza, nie doceniliśmy tej wielkiej roli płuc, jaką morze dla całego organizmu państwowego odgrywa. Nieopatrznie utraciliśmy je. Nie powiodły się mądre i dumne plany morskie króla Władysława IV, nie usłuchaliśmy głośnych nawoływań Staszica: »Trzymajmy się morza!« Utraciliśmy morze i niepodległość państwową.

Dziś jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że »wiatr od morza« niesie milionom serc polskich, wierchom, rzekom i borom, nie smętną pieśń o czymś utraconym, ale radosny hymn o spełnionych marzeniach i wyzyskanym skarbie. Skarb ten musimy pomnażać i będziemy, bo — »kto ma państwo morskie, jak powiedział sekretarz Zygmunta Augusta, ks. arcybiskup Solikowski, a nie używa go, albo je sobie da wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, ze swego cudzym, z pana kmieciem«.

Liga Morska i Kolonialna urządza od kilku lat w dniu 29 czerwca »Święto morza« i bije w wielki dzwon, by w służbę morską wprzęgnąć myśl, słowo i czyn, rozum i serce. W dniu tym jednoczy się cała Polska i skierowuje się ku Gdyni, owemu poematowi, wyśpiewanemu o drzewie, kamieniu, betonie i żelazie, do owej winnicy odrodzonej Polski, czuwającej nad sterem nawy Rzeczypospolitej i wpatrzonej w wielkie szlaki mocarstwowego naszego Państwa.

W tym serdecznym okrzyku: »Morze! Morze!« — niech nie braknie młodzieży!





Purpurowemu kręgowi wiosennego słońca nie spieszno było na spoczynek. Jakby ciekawy własnego odbicia, drgał tysiącem promieni na nieskończonym zwierciadle morza, kładąc tu i ówdzie krwawe plamy, odcinające się ostro od ciemnego granatu powierzchni wód, która hen daleko, zetknąwszy się z gęsto pomarszczonym pióropuszami wełnistych baranków sklepieniem nieba, tworzyła jedną całość różowo-liliowych barw.

Swawolny wietrzyk z zachodu, gładził pieszczotliwie pooraną bruzdami fal taflę, a jakby dla igraszki, od czasu do czasu, to rzucił wał wodny ku piaszczystemu wybrzeżu, to znowu rozkołysał bezdenną toń, aż swarliwe bałwany jęły uderzać jedne na drugie, wybuchając co chwila kłębami mlecznej piany. Raz po raz przeszył powietrze rozdzierający krzyk mew, które niby biały obłoczek, uganiały niestrudzenie, siekąc z gniewem skrzydłami fale, gdyż zdobycz wymknęła się w porę i przepadła w ciemnej otchłani.

— Henryk — rzekł, wytrzepując resztki popiołu z wypalonej fajeczki, chudy jak patyk o piegowatej twarzy wyrostek — tych łososi jakoś nie widać. Ot, staremu się uroiło, a tobie się wydaje...

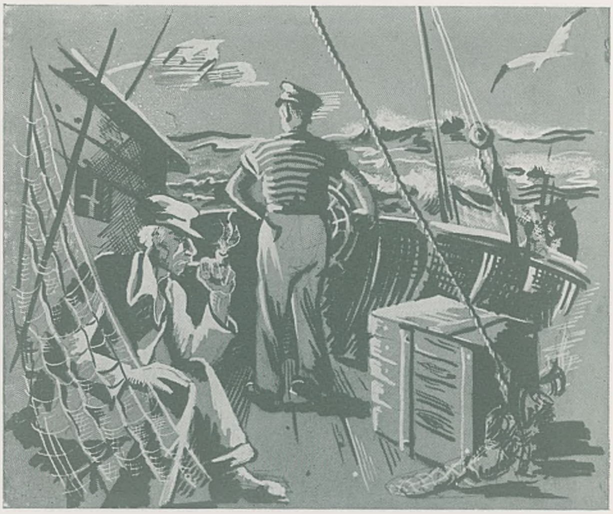
— Cicho! — odparł spalony na bronz wielkolud przy sterze, w rozpiętej mimo chłodu bluzie na piersiach i przekrzywionej nieco na bakier czapce marynarskiej — sam przecież w ubiegłym tygodniu, widziałem ich całe chmary, tylko trzeba daej na północ, a na pewno na nie natkniemy — tu obrócił koło steru i rzuciwszy okiem na wielki zegar wmontowany do deski obok kompasu, dodał — i tak przed nocą do domu nie wrócimy, a przy takiej pogodzie można spokojnie płynąć. Zresztą nasz kuter nie takie odbywał rejsy. Zapal lepiej światła, bo już i zmroczyć niedługo się zacznie.

Istotnie, »Delfin« największy kuter motorowy na całym wybrzeżu, zapuszczał się nieraz aż po Bornholm i choć bywał już w różnych opresjach, zawsze wracał zwycięsko do portu, obładowany kilkudziesięcioma cetnarami ryb, budząc ogólną zazdrość. Bo też który mógł się z nim równać? Długi na szesnaście metrów, o dwóch masztach, zaopatrzony w czterdziestokonny motor ropny, a przy tym niezwykle zwrotny, mógł rzeczywiście stawić czoło niebylejakiej nawałnicy. Obszerna zaś kajuta pod pokładem, posiadająca kuchenkę węglową i mogąca bez trudu pomieścić sześciu ludzi, dawała dostateczne schronienie załodze, podczas długotrwałych podróży.

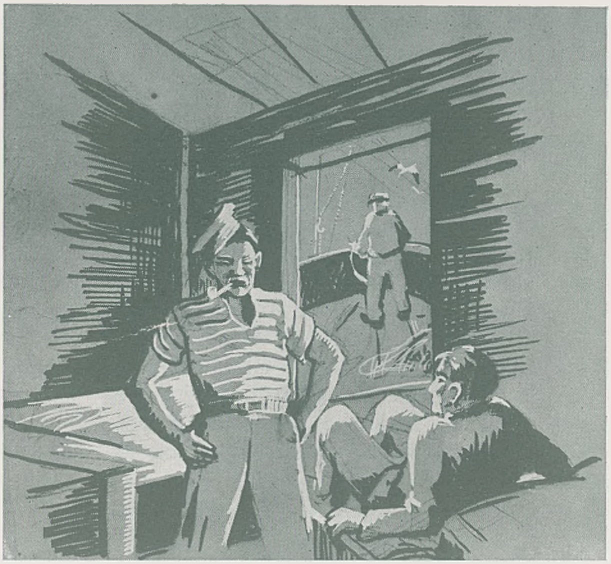
Na połów wyjeżdżali zwykle obaj Budzisze w towarzystwie starego rybaka Leonarda, specjalisty od zastawiania sieci, który przecież na wylot znał »poczciwy Bałtyk«, a który także w drodze zajmował się kuchnią, gdy bracia na zmianę pełnili służbę przy sterze.

Na wiadomość o gromadach łososi, które rzekomo pojawiły się 10 km na północny zachód od Helu, wczesnym rankiem wypłynęli na morze. Lecz nie licząc kilku zbłąkanych flądrer, sieć ciągle świeciła pustką, choć Leonard zapewniał, że lada chwila trafią na stada, które co roku właśnie w tych stronach błądzą.

— Jan — huknął mężczyzna przy sterze



w stronę kajuty — może trochę mnie zmienisz, bo nie mogę już rudla utrzymać w rękach.



Kilka razy jeszcze zawołał, zanim otwarły się drzwiczki na pokładzie i w kłębach pary ukazała się głowa chłopaka, który jakoś nie okazywał zbyt wielkiej ochoty do opuszczenia ciepłego schroniska. Odebrał ster z rąk brata, nachmurzony zapytał o kierunek, po czym postawiwszy kołnierz od kurtki, bo wiatr smalił coraz bardziej, utkwił ponury wzrok w ciemnej dali. Wogóle nie był zadowolony z tej całej podróży. — Bo gdzież to sens jaki — myślał — aby na jakieś mrzonki jechać w taki psi czas. Ale kto by tam wytłumaczył Henrykowi... Prawda, że niejednokrotnie jego zda się ryzykowne wyprawy przynosiły zysk sowity, ale dzisiaj na pewno wrócą z niczym. Lepiej zawrócić do domu — tu spojrzał za siebie i daleko na horyzoncie zobaczył mrugające światełko latarni w Rozewiu, które jak jeszcze jedna gwiazda błyskało od czasu do czasu na czarnym tle.

— Słuchajno Jan — barczysta postać brata zamajaczyła w mroku — ja zarzucę teraz pławnice, a potem się trochę położę, bo wszystkie gnaty mnie bolą od całodziennej harówki. Za godzinę mnie zbudzisz, to z Leonardem pociągniemy... A powinno już być — dodał wychylając się za burtę.

— Trzymaj tylko dobrze kierunek — rzekł, zabierając się do odejścia, ale Jan położył mu rękę na ramieniu i zaczął nieśmiało:

— Może by lepiej zawrócić, Henryku. Sam widzisz, że łososi nie ma... Po co plątać się po nocy.

— Oj, jaki ty dziecinny, a strachliwy niczym baba — odparł śmiejąc się starszy Budzisz. — Tobie prawie żaki [1]) zastawiać w zatoce, lub tubisy [2]) na haczyki nawlekać, nie puszczać się na pełne morze.

— Kąkol też tak mówił i razem z kutrem licho go porwało — wzbraniał się Jan.

— No bądź spokojny — dodał Henryk pojednawczo — nic się nam nie stanie a z pewnością wrócimy obładowani rybą. Tylko ciągle trzymaj kurs na północ — wołał już, wyrzucając sieci za burtę — bo bliżej brzegu zastawiają chłopy z Wielkiej Wsi i narobiłbyś dopiero kłopotu.

Spojrzał jeszcze na morze, chwilę pomedytował, po czym głośno ziewając, udał się na spoczynek.

Jan zapalił fajeczkę i choć klął w duchu jeszcze dzisiejszą wyprawę, przecież jakoś raźniej zaczął patrzeć w przyszłość. — Kto wie, może brat ma rację. Nie darmo uchodzi we wsi za najlepszego rybaka i nigdy do domu nie wraca z próżnymi sieciami. Ciekawym — myślał znużony monotonnym łoskotem motoru i wypatrywaniem świateł statków, które jak błędne ogniki błyskały z oddali, — co też teraz robią w domu. Pewno stara Pelagia rozplątuje pomierzwione sznurki od haczyków, a ojciec siedzi przy piecu i słucha, jak mu mała Antośka opowiada, czego się w szkole uczą. Taki mały brzdąc, ledwo to osiem lat liczy, a już czyta dobrze, i wyrozumienie o wszystkim ma jak dorosły — tu mignęła mu przed oczyma aureola złotych włosków, splecionych w dwa krótkie warkoczyki i jak para bławatków, niebieskie oczy.

— Malec jeden — uśmiechnął się na wspomnienie małej siostrzyczki, która była okiem w głowie całej rodziny. — Jak dorośnie, to pewno stary ją do szkół wyśle i tyle ją będziemy widzieli — myślał z gniewem — a jak przyjedzie, kiedyś po latach, to będzie tak wyglądała, jak te letniczki — i pod nawałem przykrych myśli kiwnął głową raz i drugi,

---

[1]) Sieć na węgorze, zastawiana blisko brzegu w długich szeregach, zwanych maszoperiami.

[2]) Małe rybki, służące jako przynęta na szczupaki.

oparł się ciężko o koło steru i dalej snuł projekty o przyszłości małej Antosi. — Nie, najlepiej będzie, jak siostra zostanie w domu i wyjdzie za rybaka.

I znowu natarczywy obrazek domu zamigotał, ale tym razem siedzieli wszyscy przy wieczerzy. Na stole dymi zupa, a ojciec zwraca się do niego i mówi: »A czemu to Henryka jeszcze nie widać?« Henryk... Henryk... chce odpowiedzieć, lecz nagle wszystko zasnuwa się mgłą, a oni obaj z bratem jako mali chłopcy jadą żaglówką po zatoce, a lekki wiatr kołysze... kołysze... Ster wysunął się z bezwładnych rąk, obracając się szybko w tę i ową stronę, a kuter momentalnie zatoczył łuk i pełnym biegiem swego czterdziestokonnego motoru pogonił w przeciwnym kierunku.

Tymczasem lekki dotąd powiew zmienił się w potężny podmuch, zakotłował w głębinie i z wściekłością, tocząc góry pomrukujących groźnie bałwanów, runął ku lądowi. Pod tym uderzeniem, jak szlachetny rumak, gdy niezasłużenie otrzyma ostrogę, Delfin wspiął się w górę, uniósł wysoko rufę nad skłębioną kipielą, chwilę, chwilę stał tak nieruchomo, poczym rozbijając na wsze strony grzebieniaste bryzgi pian, wpadł ciężko w rozkołysaną dolinę. Jeszcze kilka razy zdołał wdrapać się na niebosiężną szumiącą górę, gdy ogromny bałwan, pędzący z zawrotną szybkością i prychający u wierzchołka białą smugą, gruchnął go z furią w bok. Nie wytrzymał smukły Delfin takiego pchnięcia, zakołysał się raptownie, poczem przepuszczając przez pokład ryczące masy żywiołu, legł na prawej burcie. Rwące fale wnet uchwyciły wielką pakę stojącą na tyle kutra i podrzucając nią jak piłką z łoskotem uderzyły w budkę sternika. Rozległ się brzęk tłuczonych szyb i potoki wody lunęły do środka.

Otrzeźwiony potężnym strumieniem Jan w mgnieniu oka ocenił sytuację, chwycił za ster i kilkoma obrotami skierował kuter pod falę.

Drgając jakby z nadmiernego wysiłku, podźwignął się Delfin z niebezpiecznej pozycji i skrzypiąc głośno wszystkimi wiązaniami, nastawił śmiało rufę na pędzące falangi.

— Na Boga! Toż są już blisko lądu! Już widać nawet światełka. Czyżby zatracił kierunek? — bezwładne myśli przebiegały przez głowę wystraszonego chłopca. — Ale czemu nie posuwają się naprzód, motor przecież funkcjonuje — tu usiłował pochwycić regularny dotąd turkot. Ale musiało się stać coś złego, bo sprawna zawsze maszyna, zdawała się zacinać, chwilami całkiem milkła, to znowu odzywała się krótkimi seriami nagłych wybuchów.

— Sieci przy brzegu — błysnęła mu straszna myśl — pewno omotały śrubę i dlatego motor się dusi. Trzeba natychmiast rozpiąć żagle, bo zginiemy...

— Henryk — ryknął w trąbkę łączącą rurą kabinę sternika z kajutą — lecz żaden głos mu nie odpowiadał, tylko szum fal coraz częściej przewalających się przez pokład, zwiastował bliską katastrofę. W śmiertelnym strachu puścił ster i czepiając się zwisających lin, po omacku dobrnął do kajuty. Zataczając się jak pijany, chwycił za ramię spokojnie śpiącego brata:

— Henryk! Toniemy... Wpadliśmy w burzę, a przytem śruba od motoru zaplątana w sieci...

Starszy Budzisz usiadł na posłaniu, przez chwilę mrugał oczyma jakby nic nie rozumiał, po czym nagle zerwał się na równe nogi, odepchnął silnie brata i popędził na pokład.

Nie było ani sekundy do stracenia, bo nie kierowany Delfin wpadł teraz w jakiś diabelski taniec. To stawał prostopadle, że trzeba było niemal wbijać paznokcie w pokład, by nie zesunąć się po oślizgłych deskach w ryczącą otchłań, to znowu chylił się gwałtownie na bok, aż rwące potoki napełniały kuter, wciskając się w każdy zakamarek. Trzeba było za wszelką cenę ruszyć z miejsca. Podczas gdy Henryk sterując pod falę, utrzymywał jako tako równowagę, Jan z Leonardem czołgając się wśród egipskich ciemności, zmierzali na tył kutra uzbrojeni w długi nóż zatknięty na kiju. Lecz gruba warstwa splątanych sieci w żaden sposób nie dała się usunąć, trzymając na uwięzi śrubę statku, niby potworna ośmiornica w miękkich a sprężystych ramionach. Nie było innej rady, jak wziąć się do żagli. Raz po raz zalewani falą, trzymając się kurczowo olinowania, z wielkim trudem wciągnęli klin, [1]) gdy odczepiona od burty lina wraz z ciężkim, metalowym blokiem, rozpędzona ruchem wahadłowym, gruchnęła w pierś Leonarda i rozciągnęła go na pokładzie. Jeszcze chwila, a spiętrzony wał wodny, wpadnie i zabierze starego rybaka. Jak piorun skoczył Jan do leżącego, jedną ręką objął go wpół, a drugą mocno zacisnął dokoła przedniego masztu i czekał na skok fali...

---

[1]) Przedni żagiel.

Czarna masa wtargnęła na pokład, pogrążając obydwu w gorzko słonym całunie. Jan, czując, że w tej pozycji ani chwili dłużej utrzymać się nie zdoła, nadludzkim wysiłkiem przywiązał Leonarda do masztu, a sam z trudnością podźwignął się na kolanach i pochwycił za linę gafli. [1]) Lecz nowa, jeszcze silniejsza seria podcięła mu nogi i potoczyła ku burcie. Nie dał przecież za wygraną, trzymając konwulsyjnie linę od żagla, która owinięta dokoła ręki, wżarła się w ciało jak wściekła bestia.

— Musi ich koniecznie ratować — gorączkowe myśli trzepotały w głowie — niech sam zginie, ale musi naprawić zło, którego był przyczyną.

— Boże, na pomoc!

Nie zważał na przelatujące nad głową fale, zaparł się nogami o barierę i z całych sił pociągnął za linę. Powoli, szara płachta gafli, podniosła się w górę, a wiatr oparł się zaraz na niej potężnie, aż bardiny [2]) żałośnie zaskrzypiały. — Jeszcze trochę, niech wejdzie choć do połowy — serce waliło mu jak młotem, a przed oczyma zaczęły tańczyć złote iskierki...

Wtem, kuter zadygotał, błysnął białą rufą nad wodą i ruszył z miejsca...

— — — — — — — —

Już szarzało, gdy Jan otworzył oczy. W słabym świetle, sączącym się do kajuty przez zakratowane okna w suficie, ujrzał zgarbioną postać starego rybaka, który wcale nie zdawał się być zmartwiony wczorajszym wypadkiem, bo pogwizdując gotował kawę na kuchni.

— Leonard — zawołał zdumiony chłopak — to ty jeszcze żyjesz?!

— Jak widzisz — odparł śmiejąc się staruszek — ale ty to już naprawdę bliski byłeś śmierci. No, leż sobie spokojnie, a ja pójdę zmienić Henryka. Napracował się chłop setnie, ale he he he nie darmo...

Chłopiec chciał pytać, lecz stary uśmiechając się tajemniczo, już był na schodkach prowadzących na pokład.

— Może próbowali jeszcze szczęścia, jak burza ucichła, — myślał Jan — tu nagle przypomniał sobie, że przy wczorajszej nawałnicy nie wyciągnęli zastawionych na łososie sieci.

---

[1]) Duży żagiel.
[2]) Liny przytrzymujące maszty.

Zerwał się więc z posłania, gdy skrzypnęły drzwi i u wejścia stanął starszy Budzisz:

— Cóż ty taki wystraszony? Boisz się jeszcze burzy? — spytał.

— Henryk, gdzie nasze sieci? — wyjąkał chłopak.

— Sieci? Są już na pokładzie — odparł z dziwnym uśmiechem brat.

— I wiatr ich nie porwał?

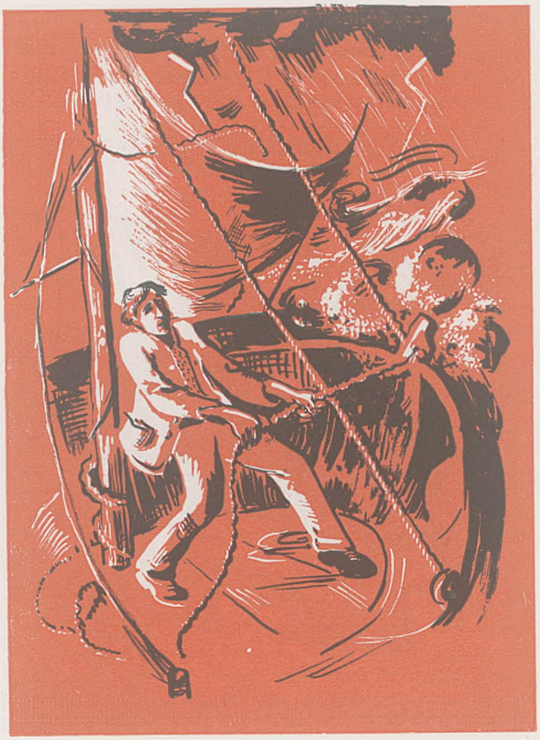
— A ty nawet nie ciekawy, co w nich było? — rozsiadł się na pryczy i pykając kłębami dymu z fajeczki, spojrzał przez ramię na zdumionego brata.

— No, nie otwieraj tak szeroko ust, bo jeszcze jaki łosoś ci do nich wpadnie, tym bardziej, że mamy ich blisko trzydzieści cetnarów w rumie [1]) i to ha, ha, ha dzięki twojej nieuwadze, bo właśnie przy brzegu były ich całe stada. Ledwośmy podołali ciągnąć obaj z Leonardem... Ale z ciebie dobry chmund, [2]) nie ma co mówić — tu strzyknął śliną przez zęby w stronę kuchni — lepiej tobie naprawdę żaków w zatoce pilnować...

---

[1]) Przestrzeń pod pokładem.
[2]) Sternik.

T. Witowiecki



Dobroczyńcy

(O co modlić się będziemy w czerwcu?)

Szybko mknęły konie, parskając co chwila z zadowolenia, lecz stokroć większa radość panowała w duszy Władka. Wakacje, wakacje! Minął pomyślnie rok szkolny, niósł ze sobą doskonałe świadectwo i oto na domiar szczęścia w przejeździe do domu zaprosił go Janek, najlepszy jego przyjaciel i kolega z Krucjaty, do swojej wioski!

Siedział teraz obok niego i przyglądał się z zachwytem nowym okolicom. W jasnym słońcu bieliła się doskonała droga, wijąc się między schludnymi mieszkaniami. Wokoło ciągnęły się piękne, urodzajne pola.

Nagle Władek drgnął i chwycił kolegę za rękę. — Za zakrętem pojawiła się jakaś okazała miejscowość.

— Co to za miasto? — zapytał z zachwytem.

— To nie miasto. To wieś, to mój Lisków. Jesteśmy u celu — odrzekł z dumą Janek.

— Nie miasto? A ten kościół, kamienice, ogrody...? — powątpiewał Władek.

— Zobaczysz, Władziu. Właśnie mówiłem ci nieraz o Liskowie. Stawiają go właśnie za wzór wszystkim wsiom w Polsce. Zresztą zobaczysz.

— Śliczne, wspaniałe! Żeby to u nas tak było!... — zachwycał się Władek.

— Wiesz, w Liskowie panowała przed tym także ogromna nędza i ciemnota. Ludzie podobno byli bardzo źli. I było by się to może długo ciągnęło, gdyby nie przyszedł do Liskowa nasz ukochany ks. Prałat Bliziński. Widząc zaniedbanie i złość ludzi, postanowił temu zaradzić. Powiedział sobie, że musi Liskowowi przyczynić nieba i chleba — zaczął pracować, pouczać, poprawiać swych parafian. Ludzie, widząc oddanie się ks. Prałata, posłuchali go i tak zwolna zaczęły powstawać te wspaniałe budynki. Zbudowano kościół, ochronki, sierocińce, szkoły, spółdzielnie, Dom Ludowy, szpital, aptekę, elektryczne oświetlenie, wodociągi, łaźnię. Lisków teraz jest naprawdę zamożny i pobożny.

— Widzę, widzę — szeptał Władek. Kiedy to tak wszędzie nastanie?

— Może i wkrótce — zapewnił go Janek. — Podobno powstają w Polsce pod przewodnictwem księży proboszczów i inne takie wzorowe wsi polskie. Słyszałem, że istnieje już w Małopolsce taka miejscowość Zembrzyce, w okręgu sandomierskim powstaje wieś Odrowąż, gdzie ks. proboszcz zmienił także nie tylko dusze mieszkańców ale i ogólny stan zamożności.

— Takich miejscowości i takich księży trzeba by nam, Janku, jak najwięcej — westchnął Władek.

— Tak, Władziu. Trzeba się o to modlić. To jest właśnie intencją naszej Krucjaty na miesiąc czerwiec.



GORLIWY RYCERZ JEST ABSTYNENTEM OD ALKOHOLU I TYTONIU!

Chciałam ci, Młody Lesie, napisać, że wczoraj odbyło się uroczyste »otwarcie« Związku Przeciwalkoholowego. Jestem więc bardzo zadowolona, że mój projekt nie upadł, lecz przeciwnie zyskał wielkie uznanie nie tylko wśród dzieci ale i wśród starszych. Prawa związku są następujące: 1) Nie używać napojów alkoholowych. 2) Nie palić tytoniu. 3) Nie handlować tytoniem ani alkoholem nawet za zezwoleniem władzy państwowej. Członków mamy 32: 21 dziewczynek, 11 chłopców i prezeskę.

Ala Pawlakówna, Poznań.

Hallo Ministranci!!!



Kółko Ministrantów w Kościerzynie.

Nareszcie »Młody Las« może sobie z Wami porozmawiać.

Z pewnością czekaliście niecierpliwie na tę chwilę, zwłaszcza ci, którzy nadesłali swe listy i fotografie. Czyżby »Młody Las« nie chciał z nami korespondować? — myśleliście.

Otóż nie. »Młody Las« bardzo się cieszył Waszymi listami, zwłaszcza że wyczytał w nich tyle serdecznej radości z jego powstania, a przede wszystkim tyle pięknych rzeczy o Was samych i o Waszej działalności. Dotychczas jednak nie mógł odpisać, gdyż trzeba było skończyć rozpoczęte uwagi o służeniu do mszy św.

Będziecie się na pewno cieszyć, drodzy chłopcy, z tego, że młody las ministrantów w Polsce rośnie. Piszą nam np. z Kościerzyna na Pomorzu, że 28. XI. zeszłego roku odbyło się tam przyjęcie aspirantów na ministrantów. »W przeddzień — tak B. Wiśniewski opisuje uroczystość — wszyscy ministranci byli u spowiedzi św. Dnia następnego udaliśmy się na mszę św., podczas której odbyło się nasze przyjęcie. Kazanie wygłosił ks. Dyr. Głowacki. Po Komunii św. ks. Dyrektor rozdał nam krzyże krucjaty i legitymacje. Po południu zebraliśmy się do wspólnej fotografii, potem poszliśmy na nieszpory. Po nieszporach udaliśmy się do mieszkania ks. Dyr. na wspólną »kawkę«. Na początek ks. Dyrektor przemówił kilka słów o doniosłym znaczeniu tego dnia. Po kawce odbyły się różne gry i zabawy. Na zakończenie odśpiewaliśmy kilka pieśni. O 7-ej wieczorem rozeszliśmy się w wesołym nastroju i zadowoleniu do domu«.

Witamy również nowe kółko ministrantów w Albertynie. Przyjęcie odbyło się 8 grudnia. Chłopcy w liczbie 12 wyszli czwórkami do presbiterium i służyli razem do mszy św., mówiąc — jak pisze ich ks. Dyrektor — równo, głośno, dźwięcznie ministranturę. Rodzice i obecni wierni mieli łzy w oczach z pięknego widoku karnych chłopców. Po nabożeństwie staraniem rodziców i dobrych pań, ministranci otrzymali śniadanie i miłe pamiątki. W czasie sumy również wszyscy służyli razem. Podczas świąt urządzili wspólnymi siłami śliczną choinkę i opłatek, urozmaicając tę chwilę pięknymi wierszykami, śpiewem i dialogami. Obecni byli rodzice i inni goście. Wspólnie z Krucjatą odegrali także z dużym powodzeniem »jasełka«.

Skoro tylko Skaryszewskie Koło Ministrantów dowiedziało się o powstaniu nowego pisma »Młody Las«, zwołało zebranie, na którym »jednogłośnie uchwalono zaprenumerować to pisemko«. Szkoda, że na załączonej fotografii nie jesteście wszyscy.

Maniek Czubek donosi z Bochni, że jest ich tam aż 42. »Jedni z członków — pisze — to studenci gimnazjalni z naszym kochanym Walusiem Kwaszenką, który jest prezesem Kółka. Zebrania odbywamy co drugi poniedziałek. W każdą wigilię Bożego Narodzenia zjeżdżamy do kopalni soli na pasterkę, gdzie w pięknej kaplicy wykutej w soli, służymy do mszy św.« — Czemu, Maniek, przypuszczasz, że to może twoja »ostatnia zabawa w autora?« — Przecież wcale dobrze piszesz.

Kółko Ministrantów przy kościele OO. Jezuitów w Krakowie.



Kółko Ministrantów przy kościele OO. Bernardyn. w Piotrkowie pisze: »Z wielką radością Kółko nasze powitało pisemko »Młody Las«. Ucieszyliśmy się niezmiernie, że wreszcie znaleźli się tacy, którzy pomyśleli o tych tysiącach ministrantów rozsianych w całej Polsce... Zasmuciliśmy się, gdy Redakcja powiedziała, że poświęci nam tylko »trochę« miejsca. Ale pocieszamy się, że »Młody Las« pod wpływem próśb i listów ministrantów z całej Polski rozszerzy skromny Kącik



Kółko Ministrantów przy kościele OO. Jezuitów we Lwowie.

szyński. Koło liczy 19 członków. I proszę: co sobotę mają zebrania z pogadankami o pracy duchowej, służbie Bożej, życiu świętych itp. no i uczą się na nich służenia. W r. 1937 odbyli 16 wspólnych Komunii św. i adoracyj. — Brawo, chłopcy! — Kolportują pisma religijne, a zarobione pieniądze składają na sztandarek. (W r. 1937 zarobili 56 zł). Biblioteczka, złożona z 230 książek, przeważnie religijnych i konkurs o tytuł »Wzorowego Ministranta« bardzo wydatnie przyczyniły się do »podciągnięcia Kółka wzwyż«. Urządzili w r. ubiegłym dwa przedstawienia, oraz »jajko« dla biednych dzieci, zebrawszy na ten cel 32 zł i nieco prowiantów. Oryginalną imprezą jest urządzany w maju »Dzień Ministranta«. Na program składają się: wspólne służenie do mszy św., Komunia św., przyjęcie nowych członków, adoracja, zebranie uroczyste, fotografia i zabawy. Działalność Kółka z Węgrowca może innym Kółkom służyć za wzór.

dla ministrantów... Chętnie »Młody Las« uczyni zadość Waszemu życzeniu, kochani Piotrkowiacy, ale dopiero na przyszły rok, gdy stanie się dwutygodnikiem. Napiszecie coś o Waszej działalności, nieprawdaż?

Wielką radość sprawił »Młodemu Lasowi« list ministrantów przy kościele pokl. w Węgrowie Podlaskim. (Podpisani: H. Wintoch, prezes; H. Tonkiel, sekretarz). Muszą to być naprawdę dobrzy i gorliwi chłopcy. Kółko ich zostało założone w 1934 roku, obecnie prowadzi je ks. Ka-

O, ale już miejsce się kończy, a tu jeszcze listów do omówienia sporo. Pocieszcie się jednak. Młody Las obiecuje się poprawić i szybciej na Wasze listy odpowiadać. Tymczasem życzy Wam szczęśliwych wakacyj; nie zapominajcie podczas nich, że jesteście ministrantami. I przyślijcie ładne fotografie z wakacyjnych wycieczek. Ale naprawdę ładne!

Do widzenia po wakacjach!



Radość w Kole Kruc. Euch. w Sompolnie.

W naszej pracy szkolnej ożywioną i wyraźnie potrzebną działalność prowadzi Krucjata Eucharystyczna. Przez czytanie w tym roku na miesięcznych zebraniach życiorysów świętych dzieci, z książki »będziemy mieli święte dzieci...«, kształcimy swoje umysły w duchu katolickim i urabiamy serca, przyozdabiając je różnymi cnotami. W każdą niedzielę śpiewamy pieśni na Mszy św., a w pierwszą niedzielę miesiąca z całą szkołą wspólnie recytujemy Mszę św. z książeczek »Wspólnie z kapłanem«.

Nie możemy się na nią doczekać.

Kiedyśmy się dowiedzieli od naszego Ks. Prefekta, że w 1938 r. będzie kanonizowany bł. Andrzej Bobola, postanowiliśmy tę podniosłą a tak nam drogą uroczystość jakoś upamiętnić. Po namyśle stanęło na tym: Liche są kielichy w naszej świątyni — kupmy kielich. Zgoda! Księgarnia

św. Wojciecha przysłała nam fotografie kilku kielichów, wybraliśmy jeden: Cały srebrny, ręcznie cyzełowany i cały pozłacany. Śliczny, zgrabny, ale drogi! Co to szkodzi! Zabraliśmy się do roboty i pieniędzy nazbierało się z różnych imprez i z kieszeni naszych rodziców 430 zł. Gotowe! Na kielichu napis na wierzchu: »Króluj nam Chryste zawsze i wszędzie«, a pod spodem: »Dar Krucjaty Eucharystycznej przy Szkole Powszechnej w Sompolnie dla upamiętnienia kanonizacji bł. Andrzeja Boboli w dniu 17-ym kwietnia 1938 roku«.

Cieszymy się niezmiernie, nie możemy się napatrzeć na niego, gdy niesie go kapłan do ołtarza, by w nim konsekrować wino w czasie Mszy świętej.

Ciekawi bardzo jesteśmy, czy się podobał ten kielich naszemu Ukochanemu księdzu biskupowi Radońskiemu, który go konsekrował.

A drugą pamiątką dla uczczenia św. Andrzeja Boboli to dwie akademie w dniu 1 maja 1938 r., połączone z przedstawieniem: jedna dla dzieci, a druga dla starszych wieczorem przez nas urządzone. Sala olbrzymia nabita!

Oto kochany »Młody Lesie« odpowiedź na zadane przez ciebie pytanie w ostatnim numerze z maja 1938 r. na stronie 114 — »Co zamierzacie uczynić na Jego cześć — św. Andrzeja Boboli?«

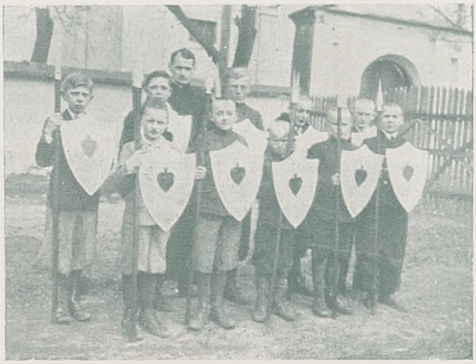
Pelagia Szymańska
rycerka z kl. VI szkoły pow. w Sompolnie

Kochany »Młody Lesie« opiszę Ci działalność Krucjaty Eucharystycznej w Lublińcu. Krucjata nasza jest dość liczna, gdyż liczy 175 członków. Sprawiliśmy sobie już sztandar, taki sobie nie bardzo drogi, ale bardzo nam się podoba kiedy w pochodzie łopoce w powietrzu. Graliśmy dwa długie przedstawienia w sali Ojców Oblatów. Ludzie licznie i chętnie przychodzą na nasze imprezy. Zawsze pełna sala. Graliśmy już: »Najpiękniejszy dzień w życiu«, »Bł. Imelda«, »Bernadetta« i »Św. Jan Kanty wśród zbójców«. Dnia 13 lutego urządziliśmy uroczystą akademię naszemu wodzowi Ojcu świętemu. Ludzie mówili, że było bardzo pięknie. W każdy czwartek mamy adorację, tzn. w jeden czwartek mają rycerze, a w drugi rycerki i tak na przemian. W czwartek przed pierwszym piątkiem miesiąca mamy Spowiedź św., a w pierwszy piątek rano, wspólną Komunię św. Po południu mamy uroczystą adorację z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu, której przewodniczy ks. Dyrektor. Jeden przygrywa nam na organach. Na tę adorację zapraszamy także dzieci z poza Krucjaty. Jesteśmy podzieleni na zastępy, które prowadzą zastępowi. Na czele zastępowych stoi drużynowy. Mamy porządek prawdziwie wojskowy, chociaż nam jeszcze do prawdziwych żołnierzy tak dużo brakuje. Każdy zastępowy często zwołuje krótkie zebranie ze swoim zastępem. Zbieramy także znaczki pocztowe na cele misyjne. Cieszymy się bardzo, bo w lecie wyjedziemy może do Krakowa za nagromadzone grosze; to też napewno o nasz Kochany »Młody Las« zawadzimy i przyjrzymy się bliżej, gdzie on wyrasta. Kończę nasz list hasłem:

»Króluj nam Chryste!«

Kotuła Franciszek

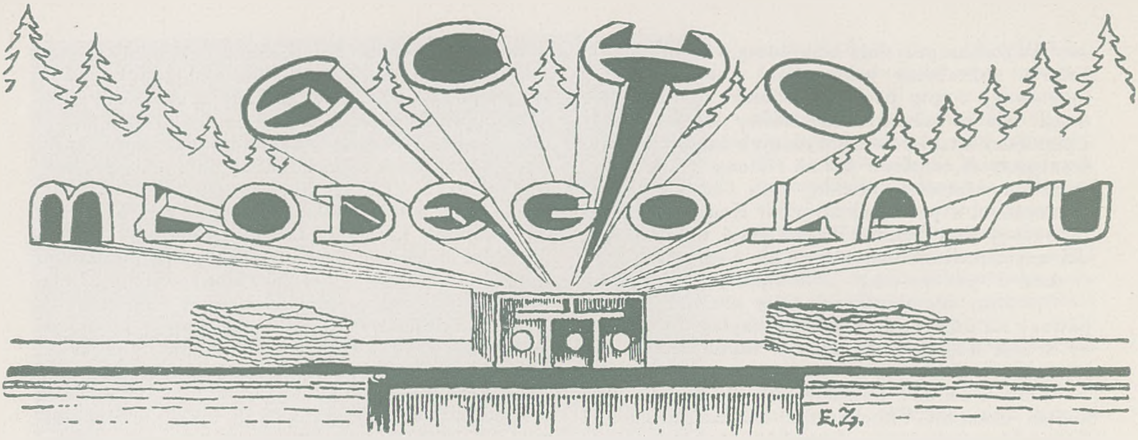
Kółko ministrantów w Skaryszewie.



SKARBIEC:

Rokociny, Praszka, Besko, Kobylin, Rozprza, Starachowice, Kochawina, Rudnik nad Sanem, Bakałarzewo, Rybnik, Kobiele Wielkie, Gniezno, Kraków, Podbrzezie, Mucharz, Galewice, Ławaryszki, Kleszczany Wileńskie, Mikołajów nad Dniestrem.

Ogólnie: Mszy św. 16.686; Kom. św. 3.390; Kom. duch. 20.604; Modl. róż. 47.843; Ofiar 26.459; Obowiązków 33.428.



Dobiega koniec roku szkolnego, pożegnacie na dwa miesiące szkołę i ja się muszę z wami pożegnać, ale tylko takim krótkim: do widzenia! Może ciekawi jesteście, co będę robił w ciągu wakacji? Otóż zamierzam się ogromnie zmienić i wypięknieć. Wtedy na pewno więcej waszych kolegów i koleżanek zechce się ze mną zapoznać.

Do widzenia więc w roku przyszłym! Wpierw jednak chciałbym raz jeszcze podziękować wszystkim Przyjaciołom »Młodego Lasu« za serdeczną pamięć.

Szczególnie ucieszył mnie piękny list Uczennic V kl. szkoły 43 im. W. Pola w Krakowie, donoszący mi, jakie to wielkie wrażenie sprawił wiersz p. Fedorowiczowej pt.: »Trzeci Maj...« — Wiosna, Polska i Matka Najśw. Częstochowska to najgorętsze umiłowania tamtejszej szkoły.

Miło mi również usłyszeć o radości Krucjaty w Ostrowie Wlkp. na widok artykuliku ich koleżanki Aliny Kruszczykówny. Ale i ja się pewnie nie mniej cieszę, że mi przysyłacie tak udatne opracowania. Oby ich było jak najwięcej!

Bardzo ładny jest list i obrazek Józia Brusa z Kalisza pt. »Ostatnia pieśń« o starym głuszcu. Nie mogłem jej jednak wydrukować w czerwcowym numerze »Młodego Lasu«; przeczytacie ją później.

Podobnie w październiku obiecuję umieścić piękny wiersz Janki Matuszkiewiczówny z Rajczy o Matce Boskiej.

Niezmiernie zajął mnie list Krucjaty Euch. w Przedeczu, gdzie »Młody Las« jest bardzo mile widzianym, czytanym i oczekiwanym gościem. Niebawem odpowiem wam obszernie i szczegółowo na wasze pytania.

Luci Sękowskiej najbardziej podoba się »Echo Młodego Lasu«, które też chętnie czytuje, gdyż bardzo kocha swe koleżanki rozsiane po całej Polsce i przynajmniej w ten sposób chce się z nimi zapoznać. Lusia jest sekretarką licznej i gorliwej Krucjaty. Piękne mają zebrania, pełne śpiewów i zajmujących opowiadań. Owszem, Luciu, jestem zadowolony z twojego listu i oczekuję następnych.

Marynia Pawlik-Dobrowolska z Bochni chciałaby, aby »Młody Las« czytano wszędzie a zwłaszcza za granicami naszej Ojczyzny. Owszem, i tam już dotarł. W roku przyszłym opowiedzą wam polskie dzieci na obczyźnie wiele zajmujących rzeczy o swoim życiu.

H. Adamczykowi nadeślę w najbliższym czasie żądane znaczki pocztowe. Szkoda, że nie wymieniłeś, z jakiego kraju sobie głównie życzysz.

Długo nie odpowiadałem na piękne listy, jakie mi nadesłała Krucjata z Dębicy zwłaszcza na list M. Pieszczeńskiej, Ożóżanki i Passanowicza, chciałem je bowiem wydrukować w szerszych wyjątkach. Niestety za szczupły był ten dotychczasowy »Młody Las« i bardzo tego żałuję. Dziękuję więc wam tym serdeczniej.

Barwnie i milutko opisali Echu o uroczystościach ku czci św. Andrzeja Boboli Zosia i Janek Ratajscy z Wielowsi. Wielkie uroczystości w Krakowie ku czci św Męczennika odbędą się w czerwcu. Wtedy wam je opiszę wraz z jedną jeszcze niespodzianką...

Mimo wielu obaw ładnie przecież wypadł pierwszy list Krucjaty w Brodach do »Młodego Lasu«. Był tylko nieco za krótki, ale ufam, że dalsze, o których mi wspominacie i których oczekuję, będą już dłuższe.

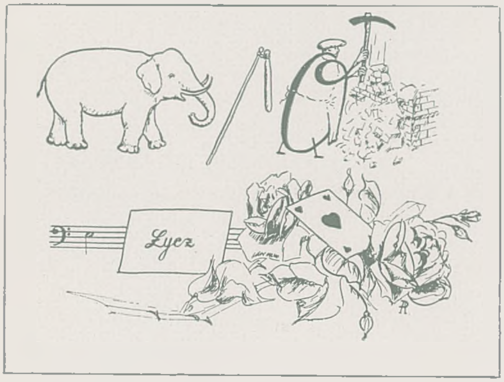
Ponadto dziękuję za pamięć i wiadomości Krucjacie z Pełkiń-Wygarek k. Jarosławia, Heluni Bromilskiej z Jarosławia, Zbigniewowi Dmytrowowi z Tarnopola, Marianowi Kalacie i Hani Waksmundzkiej z Szaflar, Józiowi i Domińcowi z Grojca.

Krucjata Euch. w Międzyrzecu Podlaskim.





REBUS.
(Za rozwiąz. 3 punkty.)



SZARADA.
(Za rozwiąz. 2 punkty.)

Pierwsze - trzecie owady. Szkodliwe są bardzo,
Zjedzą każdą tkaninę, żadną nie pogardzą.
Drugie — nuta. Całość zaś zjadacie z zapałem,
Gdyż to owoce piękne, smaczne, okazałe...

ZAGADKA.
(Za rozwiąz. 2 punkty.)

(Ul. S. i M. Pawlik-Dobrowolscy.)

Ułóż wyraz ale tak,
By czytany wprzód czy wspak,
Rzecz oznaczał, która służy,
W lecie do wodnej podróży.

ZAGADKA KRAJOZNAWCZA.
(Za rozwiąz. 3 punkty.)

Litery w rzędach poziomych poprzestawiać w ten sposób, by utworzyć 6 nazw miast w Polsce.

Z	A	O	Ń	P	N
K	K	Ó	A	W	R
L	I	K	L	C	E
S	R	O	N	O	K
D	R	O	N	O	G
L	S	A	Z	K	I

ZAGADKA.
(Za rozwiąz. 1 punkt.)

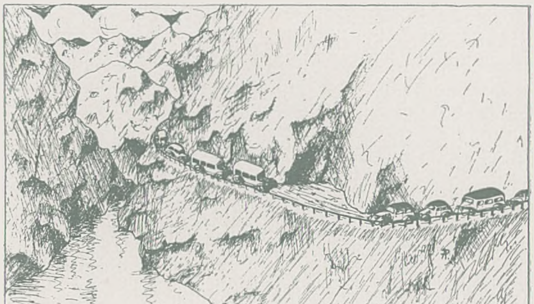
Nie nazwie go nikt rybakiem,
Choć żyje jedynie z sieci;
Niesłusznie mienią go »ssakiem«,
Zgadniecie, kto to jest dzieci?

SZARADA.
(Za rozwiąz. 3 punkty.)

Ach, jakżeż łatwa to szarada!
Bo tylko z sylab trzech się składa
I to zawiera — wierzcie mi —
O czym dziś każdy uczeń śni...
Lecz żeby jeszcze rzecz uprościć,
Powiem, że gdy chcesz kogo gościć
Śniadaniem, to miast zupy, waz,
Potrzebną będzie ci dwa-raz.

ZAGADKA.
(Za rozwiąz. 5 punktów.)

Na skalistej drodze spotyka się rząd samochodów. W jednym kierunku podążają 4 auta, w drugim kierunku również 4 auta. Tymczasem droga wąska, zmieścić się może tylko 1 auto. Z boku granitowy wał, u dołu przepaść. Na szczęście w skale znajduje się wnęka, ale tak mała, że zmieścić może znów tylko 1 auto. Jak te samochody mają się wyminąć?



ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z ZESZYTU MAJOWEGO:

Układanki szaradowe: 1. Arak. 2. Kotara. 3. Faraon. 4. Kostur. 5. Narew. 6. Karabin. 7. Katar. 8. Karpaty. 9. Kraków. 10. Natalia. 11. Mata. — *Łamigłówka:* Jaka praca, taka płaca. — *Zagadka:* (Uwaga! Należało uwzględnić w zagadce z tarczą zegara liczby arabskie i rzymskie); suma cyfr arabskich wynosi 37 (z uwzględnieniem rzymskich 50). — *Łamigłówka przyrodnicza:* 1. Modrzew. 2. Łoza. 3. Osika. 4. Dąb. 5. Klony. 6. Lipa. 7. Akacja. 8. Sosna.

NAGRODY UZYSKALI (według losowania):

Przemysław Jaskorzyński — Lwów.

Danusia Węgierska — Tyśmienica.

Krysia Nowakówna — Ostrów Wlkp.

Kazimierz Maniecki — Tarnopol.

Emilia Turska — Częstochowa.

